

SAMPLE  
TRANSLATION

PAVLE RAK  
WYCISZENIE SERCA

PUBLISHED BY: KUD LOGOS, 2011

TRANSLATED BY: URŠKA ZABUKOVEC

ORIGINAL TITLE: UTIŠANJE SRCA

NUMBER OF PAGES: 366

## Pavle Rak: Wyciszenie serca

### Część I

#### IV. Dwa sprzeczne sposoby pojmowania wolności

*Jeżeli ktoś w niedzielę, a tym bardziej w dzień świąteczny, nie wdziewa swoich najpiękniejszych szat na jutrznię i na inne nabożeństwa, powinien przed ołtarzem zrobić pięćdziesiąt prosternacji, a potem iść je włożyć ... Ktokolwiek wykonuje wszelakie zajęcie bez podriasnika lub mniszej czapki, niechaj zostanie ukarany jak ktoś, kto gardzi stanem zakonnym.*

Z typikonu klasztoru Studion

*Pilnuj, by twoje ciało nie było zaniedbane i nieczyste, by tobą nie oładnęła pycha. Ale nowicjusz niechaj swoje ciało na wszelki sposób zaniedbuje, albowiem lepiej mu to służy.*

Abba Izajasz

*Przyjmuj na zasadę nie jedzenie ryb; obserwuj, jak wróg zacznie cię przekonywać, że chcesz jeść rybę.*

Jan z Karpatos

*Gdy z bratem pracujecie razem, ty, jeżeli jesteś mądry, nie będziesz mu wytykał błędów, które zauważysz, bo to byłoby śmierć dla twojej duszy.*

Abba Izajasz

Słowa o „przepychu w kuchni“ i o stałym uwikłaniu w świat materialny, świat patelni i garnków, jedwabiu i marmuru oraz wszelkich tym podobnych rzeczy, chociaż można byłoby się obejść i bez nich, nowicjusz zapisał całkiem poważnie i z dużym niesmakiem. Był bowiem przekonany, że z trzech ślubów wieczystych (posłuszeństwa przełożonemu i braciom, zachowania czystości oraz życia w ubóstwie) najłatwiej przestrzegać trzeci przykaz, i właśnie dlatego jest to jak gdyby podstawowe, początkowe ćwiczenie, jeżeli można tak powiedzieć, bez którego wszystko pozostałe oparte byłoby na chwiejnych podstawach, byłoby pozorem, domem z kart. Skromność była cechą jego osobowości, cechą, którą posiadał już przyjeżdżając z Petersburga, a która była raczej zarodkiem jego dążenia ku wolności i niezależności niż wykształconą i pielęgnowaną

duchową cnotą. Była to elementarna skromność, w pierwszej kolejności dotycząca odzieży, a następnie jedzenia i ogólnie rzeczy powszednich, domu i mebli, wymóg w trakcie podróży, warunków w pracy... Natomiast odnośnie głębszej, duchowej skromności, to już sam Wjaczesław zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest ją tak łatwo zachować. Często bowiem zdarzało się, że uporczywie bronił swojego zdania, nawet jeżeli przez to przeciwstawiał się powszechnie uznanym autorytetom oraz kwestionował „powszechnie przyjęte prawdy” - szczególnie gdy uważał, że chodzi o stereotypy, a nie o prawdę. Za stereotypowe uważał między innymi także burżuazyjne normy ubierania się. Społeczeństwa petersburskiego nie obrażał umyślnie zaniedbując czystość, jednakże często zdarzało mu się zjawiać gdzieś w ubraniu, które według kryteriów społecznych było zbyt znoszone; także w domu spokojnie chodził w załatanych ubraniach. Dlaczego? Odpowiedź może zabrzmieć banalnie: by czuć się bardziej wolnym, by nie trzeba było uważać na to, gdzie i o co się oprzeć, jak siedzieć i na to, by nie zahaczyć o jakiś gwóźdź. Jeżeli coś się zabrudziło lub rozerwało, nie miało to znaczenia, ponieważ ubranie w jego oczach nie miało żadnej wartości. Dlaczego więc miałby zawracać sobie tym głowę?

Zaraz po wstąpieniu do skitu on, szczęśliwy jak nigdy, założył swoje stare, szorstkie, na kolanach załatane spodnie, koszulę z całkiem wytartym kołnierzem i przykrótkimi rękawami oraz stare, rozchodzone sandały, chociaż była jeszcze zima. Jeżeliby przyjeżdżając tu już nie miał gęstej, czarnej, kędzierzawej brody, jaką mają asyryjskie byki, stróże bram miasta, a także gęstych długich włosów, które jednak nie były na tyle długie, by mógł je spleść w warkocz, a w beładzie wystawały spod czapki, i jeżeliby nie miał na nosie małych okrągłych okularów, które razem z dwiema głębokimi zmarszczkami nad wąsami, tam, gdzie zaczynają się policzki, nadawały jego podługnej twarzy wygląd jakiegoś owada, mrówki czy szarańczy o dużych oczach, co wskazywało na jego intelektualne upodobania, to ktoś mógłby pomyśleć, że ma do czynienia z jakimś robotnikiem z monasteru. Nogi miał umięśnione, jego wystające ręce w przykrótkich rękawach były owłosione i żyłaste, a klatka piersiowa oraz ramiona stosunkowo szerokie. Kiedyś, gdy razem ze starym ojcem Symeonem rozebrani do pasa czyścili dno olbrzymiego kotła do pędzenia gorzałki, ten życzliwie powiedział: „O, dobrze jesteś zbudowany, jeszcze długo będziesz hasał.”

Nie był zadowolony, gdy ojciec Kliment, jego główny „przełożony” w sferze codziennych zajęć, zwrócił mu uwagę, że zajmując się gośćmi należałoby się lepiej ubierać; gdy po pewnym czasie dali mu nowy, wyprasowany podriasnik, miękką mniszą czapkę, kamizelkę i riasę, objaśniając, że tym samym stał się prawdziwym, oficjalnym nowicjuszem, i że stroju zakonnego ma już nie zdejmować, owładnęła nim niepojęta i niewypowiedziana groza: poczuł się nagle wchłonięty w uniform, związany, pokaleczony, zredukowany do zewnętrznej roli społecznej i zdany na to, że będzie musiał zawsze myśleć o skrzydłach, które trzepotały lub ciągnęły się za nim, i o szerokich rękawach, stworzonych jak gdyby po to, by zahaczyć o klamkę, gałąź lub oparcie krzesła i się rozerwać. Jeszcze tego samego popołudnia, bez poradzenia się kogoś w tej sprawie, zrobił po swojemu: gdy musiał obok winnicy z łomem zejść do grotty, pełnej błota i brudu, zdjął swój „uniform”. Dostał srogą naganą, co wywołało w nim poczucie silnego niezadowolenia i frustracji. Trochę się uspokoił, gdy przynieśli mu stary, wyblakły, załatany i po części nadal rozerwany

podriasnik, który na dodatek był zabrudzony farbą; teraz poczuł się wygodniej, a nade wszystko bardziej swobodnie.

Wspomnieliśmy ojca Klimenta, z którym wiązały go codzienne zajęcia, „posłuszenie“. Oprócz prac ogrodowych, nowicjusz połowę swojego roboczego dnia spędzał jako pomocnik w izbie dla gości. Kliment był pochylonym, jak liść wątłym starcem, który dotarł na Świętą Górę jako bezbrody młodzieniec, bezpośrednio ze swej wsi, z pastwiska. Wszystkiego lub prawie wszystkiego, czego nauczył się w swym życiu, nauczył się tutaj. Przyjęcie stanu zakonnego było dla niego zmianą, odpowiadającą powtórny narodzinom, a sam stan zakonny był czymś najlepszym i najbardziej godnym, co człowiek może sobie wyobrazić (myśl ta nie była u niego żadnym powodem dla próżności: Kliment bowiem szczerze i stanowczo uważał, że ten, kto jak gdyby wznosił się nad innych, tę swoją wyższość może manifestować tylko służeniem innym). W związku z tym uważał szaty zakonne za „anielską schimę“, anielską oprawę, świętość, której za żadną cenę nie wolno zdejmować. Zawsze był ubrany sztywno, jak na uroczystość, częściowo z obowiązku wobec „anielskiej schimy“, a częściowo z szacunku wobec gości, których nieprzyzwoicie ubrany mnich mógłby urazić (tak sądził).

Obie rzeczy, zarówno stan zakonny jak i posłuszenie, Kliment traktował śmiertelnie poważnie. Ludziom służył gorliwie, nawet fanatycznie, przy czym nie mamy tu na myśli niczego złego, lecz tylko to, że to służenie było służeniem z głębi serca, do ostatniej kropli krwi. Jednym ze skutków takiego służenia była jego pedanteria, która w skicie była przysłowiowa. Kliment nie tylko chciał wszędzie wprowadzać porządek, on chciał osiągnąć doskonałość.

\*

Wolność, czas dla siebie, własne książki i własne myśli – to wszystko stanowi inwentarz, o którym trzeba w monasterze jak najszybciej zapomnieć, co z uporem starali się mi wbić do głowy. Wyznaczyli mnie na pomocnika ojca Klimenta, mnicha, który już dawno temu pożegnał się jak z wolnością, tak i z własnym czasem i własnymi myślami. W jego towarzystwie ja miałem pojąć, co robię i dlaczego. A stało się coś przeciwnego: to mnie udało się wprowadzić ojca Klimenta w zakłopotanie (choć bynajmniej nie w zwątpienie).

Kliment jest bardzo sumienny, wszystko, co robi, chce zrobić jak najlepiej i dlatego żadnej pracy nie widać końca. Jego pojmowanie życia zakonnego nie mogłoby być bardziej proste: w mnichu po przyjęciu schimy stary człowiek umiera, rodzi się nowy. A zmarłego nie trzeba wspominać, nie trzeba wspominać jego przyzwyczajęń i życzeń, tym mniej o nie dbać. Mnich poświęcił siebie by służyć, cała jego praca polega właśnie na służeniu, a służenie wychodzi mu najlepiej wtedy, gdy to, co robi, stara się zrobić jak najlepiej. Czy mu się to udaje czy nie, już nie jest aż tak ważne. Najważniejsze, że istnieje intencja, że ta intencja jest szczerą i że wprowadza ją w życie jak może najlepiej. Dlatego Kliment po każdej wykonanej pracy jeszcze długo obserwuje i ocenia wynik końcowy – dopóty, dopóki nie znajdzie jakiegoś braku lub nie wymyśli jakiejś nowej metody, dzięki której mógłby, jak sądzi, ulepszyć to, co już osiągnął. W ten sposób o niczym nie można

powiedzieć, że jest gotowe, Kliment bowiem zawsze wymyśli jakieś rzeczywiste lub wyimaginowane udoskonalenie – i w każdej chwili możemy zaczynać od nowa.

Gdzie znaleźć wolny czas, jeżeli żadna praca nigdy nie jest ukończona? Ale po co Klimentowi wolny czas? Byłby nim oburzony, ponieważ wolny czas to czas, który nie jest przeznaczony do służenia, co oznacza, że jest to czas stracony, daremny.

Ja bym się jednak chciał nieco zatrzymać, chciałbym trochę odpocząć, mieć przynajmniej chwilkę dla siebie. Wiem, ojcie Klimencie, powiesz, że najbardziej wolny człowiek to ten, który wyzwolił się ze wszelkich pragnień, także z pragnienia wolnego czasu. Być sługą samego siebie to najtrudniejsza rzecz – mówisz. A także najśłodsza – chórem odpowiada cała buntująca się ludzkość. Tak to wygląda, ojcie Klimencie, i właśnie dlatego nie mogę się z tego wyzwolić za pomocą samego tylko poruszenia woli, jak tego chciałbyś ty, a nawet wszyscy tu żyjący. Wolność przychodzi na samym końcu, a nie na początku drogi zakonnej.

\*

Tak nowicjusz rozmyślał o sobie i o swoim nowym starszynie przy „posłuszaniu“, gdy był w dobrym humorze, jak teraz. A w chwilach napięcia i zwątpienia, gdy był szczególnie przygnębiony, w najlepszym przypadku litował się nad ojcem Klimentem, a w najgorszym był na niego zły. A powodów tej złości było mnóstwo.

Pewnego ranka do kuchni dla gości przynieśli nową, jasną szafę. Była piękna i czysta, nadal pachniała świeżym drewnem. Kliment przez pewien czas niemal pobożnie obserwował przyniesiony mebel i zastanawiał się, jak go użyć w najbardziej odpowiedni sposób. Zdecydował, że w szafie należy umieścić to, co w kuchni jest najczystsze, czyli szklanki i filiżanki. Nowicjusz przez całe przedpołudnie opróżniał kredens i jego zawartość przenosił do szafy, po czym zaczął do kredensu wkładać pudełka z rachatlukum, kawą i herbatą. Gdy praca była prawie ukończona, Kliment stanął u drzwi i zaczął krytycznie oceniać nowe rozstawienie. Rzekł nagłe:

„Niedobrze, szklanki muszą być bardziej pod ręką, a nie w zamkniętej szafie. Poza tym, w półciemności nie będziemy widzieć, czy są czyste czy zabrudzone. Przenieś wszystkie szklanki z powrotem do kredensu.“

Wjacesław w tym momencie poczerwieniał. Z trudnością się powstrzymał, aby czegoś nie powiedzieć, ale to było gorsze, niż gdyby powiedział, co miał do powiedzenia. Poczerwieniały i pomarszczony w milczeniu pracował dalej.

„Nie chmurz się,“ rzekł do niego Kliment. „Zrobimy tak, jak będzie najlepiej dla nas i dla naszych gości.“

„Najlepiej gdybyśmy nie marnowali czasu na takie rzeczy.“

Tym razem powstrzymał się Kliment. Martwił się z powodu stanu duchowego swojego pomocnika, i słusznie.

\*

„Dusza,“ mówił niedawno mój ojciec duchowy, „żyje w relacji z innym, dla duszy zamknięcie się na siebie równa się samobójstwu. Gdy z powodu siebie i swoich problemów nie jesteś w stanie widzieć i poczuć innego, wiedz, że błądzisz w zamkniętym kole, z którego ciężko ci będzie wyjść samemu. Każdą próbę, by ujrzeć innego, blokuje szereg luster, które zwracają ci każde spojrzenie, niestety, skrzywione i wypaczone. Inny wtedy jawi się nam jako odbicie naszego 'ja'. Cały świat postrzegamy jako reakcję na samych siebie.“

Tak, to wszystko nosimy w sobie, a szczególnie własną próżność.

Ze wszystkim tym trzeba iść do spowiedzi jak najszybciej, ponieważ wkrótce zaczyna się okres wielkiego postu.

Jak odbieram słowa o celniku i faryzeuszu? Czy porusza mnie fakt, że moja pokuta podobna jest do modlitwy faryzeusza? Co więcej, czy zdałem sobie sprawę z tego, że ja sam jestem tym synem marnotrawnym, grzesznym, który wraca i jest przyjęty nie dlatego, że na to zasługuje, lecz dlatego, iż miłość Ojca nie zna granic?

## VIII

Świece, wszystkie wedle mojego życzenia

*Szukający Pana niechaj nie szukają Go poza sobą, lecz w sobie, i niechaj to czynią z wiarą, która się urzeczywistnia.*

Maksym Wyznawca

*Gdy pracujecie razem, nie obserwuj i nie ocenij, kto pracuje lepiej, czy więcej zrobiłeś ty czy twój brat.*

Abba Izajasz

Znów mamy zimę, znów wypełniam swój stary obowiązek, swoje stare „posłuszenie“. Kilka dni temu, gdy pod koniec porannego „dyżuru“ w izbie dla gości przechadzałem się po skicie (gości nie było, przez jakiś czas siedziałem i czytałem, a później poszedłem się rozruszać), na spotkanie wyszedł mi ojciec Abel, potulny mnich, nieco młodszy ode mnie, ale przebywający na Świętej Górze o wiele dłużej. Abel jest najbardziej cichy spośród nas, szczupły i słaby, ale swoje zajęcia wykonuje tak starannie, że jest w tym nawet lepszy od mojego Klimenta. Każdego poranka Abel budzi mnichów przed rozpoczęciem dnia. Puka do drzwi, odmawia modlitwę i idzie dalej. I tak kroczyliśmy sobie na spotkanie, ja jego widzę, ale on mnie nie, patrzy w drzwi, do których za chwilę zapuka. A właściwie patrzy i jednocześnie nie patrzy. Widzę, że jego wewnętrzne spojrzenie

zwrócone jest w nieskończoną dal. Kto wie, co on widzi w tej chwili. Półgłosem odmawia modlitwę, silne światło rozjaśnia jego policzki, cały drży z radości. Gdy minęliśmy się, zauważyłem, że się zmieszał, zawstydził się, bo widziałem jego wesoły, podskakujący chód.

Przedwczoraj, pod koniec mojego porannego odpoczynku (gdy inni już dawno pracowali, ja miałem trzy godziny wolnego, ponieważ tyle miałem dyżuru), Abel zapukał do moich drzwi:

„Jeżeli chcesz, moglibyśmy razem robić świece.“

Oczywiście że chcę, jak mógłbym nie chcieć spędzić kilka dni z nim. Jednakże dobrze wiem, że to „jeżeli chcesz“ było tylko jego łagodnym sposobem przekazania mi „woli“ przełożonego, tak że nie ma możliwości, bym tego „nie chciał“. Abel zawsze wyraża się w taki sposób. Gdy pracujemy razem, nigdy nie mówi „podaj mi“ lub „proszę, podaj mi“, lecz zawsze „jeżeli chcesz“. (Prawda, to mogłaby być parafraza francuskiego *s'il te plait*, ale u nas nikt tak nie mówi, a Abel nie zna francuskiego, tego jestem pewien.)

A więc przede mną kilka dni w improwizowanej pracowni wyrobu świec. Całkiem miło. W całym skicie jest chłód i wilgoć (zimowe deszcze są długie i uporczywe), tylko w naszej niskiej komnacie jest ciepło i przyjemnie pachnie, bo jest tam kociołek, w którym topimy wosk. Pachnie dzieciństwem, żółtymi kiermaszowymi piernikami, świętami.

„Chcesz, byśmy te grudy wosku roztopili w tym kociołku?“

Jak mógłbym tego nie chcieć! Przynoszę drewno, rozpalamy pod kociołkiem, uważamy, by ogień nie wezbrał nazbyt na sile, ciemne, miodowe, żółte kawałki zanurzamy w płynie, gdzie najpierw złościście pobłyskają, a później znikają. Wosk się topi, a my do metalowej ramy w odpowiednich odstępach przywiązujemy nić, przyszyły knot naszych świec. Gdy kończymy, zaczynamy zanurzać ramy w pachnącym roztworze. Do nici przywiera odrobina wosku, który na powietrzu szybko twardnieje. Ochłodzone ramy zanurzamy ponownie, a na knotach pojawia się coraz więcej jasnożółtej masy, coraz lepiej widać, jaki będą miały kształt nasze świece.

Gesty Abła są szybkie, dokładne, tak, że ułatwiają mi pracę. Ma długie rzęsy, pod nimi uważne spojrzenie. Śledzi każdy mój ruch, i chociaż ja nigdy nie pytam, czy on „chce“, on zawsze w odpowiedniej chwili ściągnie pokrywę, przejmie coraz cięższą ramę lub przetnie część knota, który się zaplątał i mi przeszkadza.

Żółte stożki nabierają grubości. Tylko wierzchołki są cienkie, ponieważ gdy wyciągamy ramy z kociołka, gorący wosk najpierw spływa po knocie w dół, ale już w ułamku sekundy wosk zaczyna twardnieć. Gotowe świece są grubości dwóch palców. Są one gładkie, właściwe, matematycznie jednakowe. Ozdabiają cerkiew: na dużym polieleosie, w okrągłym centralnym żyrandolu, a też w świecznikach, wyprostowane i jasne, takie jak powinna być także nasza modlitwa. Takich dużych jest kilkaset, tych średniej wielkości świec, które zapalone my mnisi trzymamy w dłoniach na nabożeństwach okresu wielkanocnego, jest kilka tysięcy, a małych, cienkich świeczek, które pielgrzymi zapalają przed obrazami, już nie sposób zliczyć. Taką ilość świec wykonaliśmy ja i Abel, wszystkie „wedle mojego życzenia“.

## Część II

### XI

Ныне отпускаеши, Teraz o Panie, pozwól odejść ...

*Kto bezrefleksyjnie trzyma się nagich słów Pisma Świętego pozbawiając w ten sposób własną duszę godności, poprzez ograniczanie jej do formalnego służenia Prawu – ten w zgubny sposób sprowadza Logos do czegoś cielesnego.*

Maksym Wyznawca

*Znałem starca, którego okradał brat z sąsiedztwa. Starzec wiedział, co się dzieje, a jednak nigdy nie ganił złodzieja. Przeciwnie, pracował jeszcze więcej mówiąc: „A może brat czegoś potrzebuje.”*

Święty Zosimos

Dotarliśmy do momentu przełomowego historii mnicha Stefana. Przed nami tajemnica, która pozwala już tylko na przeczucia, a przeczucie to marny przewodnik komentatora. Powiadają, że święty widzi wszystko, ale jego życia wewnętrznego nikt nie widzi. Nie sądzimy, by Stefan stał się świętym, zwłaszcza w tym początkowym etapie swego życia zakonnego. A jednak poczuliśmy, że wszedł na ścieżkę, na której niezaproszonemu i niedokształconemu oku trudno uchwycić szczegóły. Stąd milczenie i wyczekiwanie, by historia opowiadała się sama, bez naszych niezręcznych wtrąceń. A gdzie rzeczywiście nie da się bez nich obejść, niech przynajmniej będą one pozbawione zamierzeń wszechwiedzącego objaśniania. Wszystko, co o tajemniczym zjawisku powiemy, jest – z wyjątkiem opisu czysto zewnętrznego – najczęściej błędne.

\*

Po „wielkim doświadczeniu“ (tak sobie nazywałem rozmowę ze starcem) wszystko w skicie wydawało mi się łatwiejsze, wszystko postrzegałem jako coś przejściowego. Wiem, że nadchodzi czas radykalnego rozwiązania moich trudności, i jestem o tym tak głęboko przekonany, że już nie czuję zniecierpliwienia. Wszyscy wokół mnie zauważyli zmianę na lepsze, chociaż zadają sobie pytanie, jak to jest możliwe, że ta zmiana dokonała się właśnie teraz, po tylu latach i w chwili, gdy ogólnie jest nam wszystkim w sensie obiektywnym coraz trudniej.

Nikommu jeszcze nie wyjawiałem swojej tajemnicy.

Swemu duchowemu ojcu, ojcu Mateuszowi, wyjawiałbym ją bez zastanawiania, ale jego już dawno wśród nas nie ma.



\*

Zwołano wszystkich mieszkańców skitu, ponieważ nowy starszyna, ojciec Arystarch, miał coś ważnego do oznajmienia. Powiedział, że zdaje sobie doskonale sprawę z tego, iż stał się starszyną wyłącznie dlatego, że zostawił nasz poczciwy ojciec duchowy. A on, Arystarch, musi nam w końcu oznajmić, jaki los nas czeka. Wszyscy przybyliśmy tu z Rosji w spokojnych czasach, przybyliśmy w poszukiwaniu korzyści duchowych, w celu oddania się Bogu i modlitwie. Wybraliśmy właśnie ten skit, każdy z jemu znanych pobudek; nie jest jego, tj. Arystarcha sprawa, by to osądzać, niemniej jednak wie doskonale, że jeden przyszedł tu ze względu na ojca Mateusza, z powodu jego świętości, której światło biło z daleka, a którą znała cała Rosja, a ktoś inny przyszedł z powodu typikonu, dość nietypowego jak na cenobityczną wspólnotę, typikonu, wymagającego doświadczonego mistrza modlitwy Jezusowej, a jeszcze ktoś inny przyszedł dlatego, że skit dzięki nieprzerwanej pomocy ze strony Rosji był dobrze zaopatrzony, tak że nigdy nie żyło się tutaj w biedzie (a dostatek ważny był w celu jak najlepszego oddania się mnichów „modlitwie Jezusowej“). Ktokolwiek przybył z wymienionych powodów, ten teraz, jednym ciosem losu, stracił wszystko. To prawda, że licznych z nas łączy z tym skitem przywiązanie jak do swego własnego domu. Ten dom zmienił się jednak. Z miłości do skitu możemy się dlań poświęcić, możemy postarać się odnowić, naprawić to, co naprawić się da. Ale nawet sam ojciec Arystarch pewności nie ma, co i czy w ogóle dałoby się jeszcze uczynić.

Nasz skit w dużej mierze zależał od kontaktów z Rosją, a w okresie wojennym więzi te słabną. Nie ma już nikogo, kto kupiłby nasze obrazy i różańce i krzyżyki, nie ma już nikogo, kto wysłałby nam rubel lub dwa, byśmy na proskomidii wspominali jego bliźnich. Na razie czerpiemy z zapasów, ale nie jest odległy dzień, gdy przyjdzie nam się zapytać, co podać braciom w jadalni. Tak duży skit nie jest w stanie się utrzymać bez pomocy ofiarodawców z ojczyzny. Teraz, gdy ten kontakt został zerwany, być może na zawsze, postaramy się zachować to, co jest w danych warunkach do zachowania, a to oznacza – skromność we wszystkim, także w liczbie braci. Pozostaliśmy bez dochodów z nieruchomości w Petersburgu i Moskwie, bez dochodów z domu zakonnego w Palestynie. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że nasze tutejsze ogrody i lasy, które sami uprawiamy, nie są w stanie wyżywić dużej wspólnoty, poza tym, zostanie bardzo mało czasu na jakiegokolwiek zajęcie poza ciężką pracą. Od dzisiaj, a właściwie nie od dzisiaj, lecz od kilku lat jest już to naszym przeznaczeniem. Tak, dobrze zrozumieliście: jeżeli kogoś takie warunki nie przekonują, to nie mamy powodów, by go tutaj zatrzymywać. Nikogo nie będziemy wypędzać, a ten, kto chce zostać, wie, co go czeka. Jeżeli ktoś chce wziąć odpowiedzialność na siebie, dostanie błogosławieństwo i będzie mógł zamieszkać w celi. Błogosławieństwo może uzyskać pod jednym warunkiem: że jako nowicjusz nie będzie pozostawiony samemu sobie, życiu w osamotnieniu. Starsi mnisi, wyćwiczeni w zajęciach duchowych, mogą wziąć ze sobą ucznia.

Ojciec jak gdyby chciał powiedzieć: ratuj się, kto może!

A więc wyjście ze skitu jest możliwe, jego drzwi są otwarte. Zniknęły wszystkie bariery. Ale w takich warunkach już się tym nie cieszę. Jak mógłbym cieszyć się z nadchodzącej wszechobecnej katastrofy? Ale życie toczy się dalej, coś musiałem począć. Chociaż już nie odczuwałem prawdziwego szczęścia z powodu możliwości odejścia ze skitu, to chwile przebywania w nim stały się coraz cięższe. Potrzeba zmiany stała się obsesją, rosła jak wrzód, który musiał pęknąć.

Wszystko wiązało się w ropy węzeł: sytuacja w skicie, sytuacja w Rosji, moja własna modlitewna słabość i rozpacz, że Bóg nie przyjmuje mojej ofiary, świadomość własnej słabości i powierzchowności, a także ciągle kłótnie z ojcem R...

\*

Ze skitu wybiegłem nieco przed południem. Cele klasztorne na Prowacie obszedłem szybkim krokiem górą i skierowałem się w stronę szczytu grzbietu, ponieważ miałem tylko jeden cel: dotrzeć do starca jeszcze dzisiaj. Było zimno. Cały czas rosiło, na gałęziach przy ścieżce nawarstwiały się liczne kropelki, niskie chmury całkowicie zaciemniły dzień, wszystko było czarne i nadgniłe – ale mnie to bynajmniej nie obchodziło. Pędziłem w stronę obranego celu.

W kasztanowym lesie na zboczu góry rozszczepiają się dziesiątki błotnych ścieżek. Droga coraz bardziej wznosi się wzwyż, zagłębiłem się w gęstej mgłę, coraz trudniej o orientację. Już dwa razy zbłądziłem i musiałem wracać. Jestem mokry, coraz bardziej rozżalony, w stanie jakiegoś gorączkowego wyczekiwania. Kroczę nadal szybko i zdecydowanie, czuję jednak, że takiego tempa długo nie wytrzymam.

Serpentynami w dół w kierunku monasteru świętego Pawła niemal biegnę, przeszmygluję się przez bramę monasteru, żeby mnie nikt nie zobaczył i nie zawezwał, a teraz zbliża się ostatni, najtrudniejszy fragment drogi: idę w górę przez Nowy Skit i Skit Świętej Anny, i dalej błotną, śliską ścieżką w górę. Uparcie chciałem dotrzeć do celu jeszcze tego samego dnia, jak gdyby od tego zależało moje życie. Czuję, że jeżeli zatrzymałbym się w tej szarości i wilgoci, to wszystko by mi zbrzydło, chciałbym zniknąć, niczego nie widzieć i nie słyszeć, nie chciałbym już dalej iść.

Na śliskim czarnym błocie, miejscami pokrywanym kamienną ścieżką, poślizgnąłem się kilka razy, nawet przewróciłem się, upadłem na dłonie, które teraz krwawią. Gdy na pewnym zakręcie na chwilę spojrzełem w dół, w tej pauzie, która trwała sekundę lub dwie, z przerażeniem zauważyłem, że moje nogi drżą z wysiłku. Jeszcze tylko skurczy brakuje! Ale wszystko wskazuje na to, że nie trzeba będzie na nie długo czekać.

Jeszcze przez jakiś czas idę pod górę. Przewracam się. Staram się trochę odpocząć. No, już pojawiły się skurcze. Jednocześnie z chmur, w które się znów zanurzyłem, zaczęły padać pierwsze tegoroczne śnieżynki. Teraz już mocno śnieży. Przed sobą nie widzę niczego, ścieżka wznosi się po nagich piarżyskach, na zakrętach już jej nie widać. Nie tylko chmury, także zmierzch jest coraz bliżej, wszystko powoli spowija w coraz gęstszej rozpacz. Zaczynam się czołgać. Moim jedynym celem jest doczołgać się do czegokolwiek, co przypominałoby schronisko, usiąść, wyprostować nogi, więcej nie ruszać się z miejsca. Piarżysko ciągnie się w nieskończoność. Nie wiem, czy doczołgam się do jakiejś skały lub drzewa, przy którym będę miał poczucie bezpieczeństwa, chociażby złudne.

Do tej pory śnieg na kamieniu się topił, a teraz zaczyna się przylepiać; w ciemności zachodzącego dnia piarżysko staje się mętnie białe. Ścieżki już nie rozpoznaję, pełzam po omacku; za sobą zostawiam mokre ślady. Ruszam się resztkami sił i woli, a właściwie woli już nie ma, już zubożniałem, gotów jestem położyć się tam, w roztałym śniegu, wśród kamienia.

Gdy zacząłem szukać jakiegoś bardziej płaskiego miejsca, od razu w pobliżu usłyszałem poszukający mnie głos. Wypatruję uważniej za głosem i widzę, jak z szarości wyłania się czarna

sylwetka olbrzymiej skały, ledwo ją widać, ponieważ wszystko pozostałe także znacznie pociemniało, a jednak... Idę za głosem i już po kilku krokach u podnóża skały niewyraźnie rozpoznaję sylwetkę ludzką. Wymachuje rękoma, abym się do niej zbliżył. Kamień spadł mi z serca, członki jak gdyby zapomniały o niedawnym niedomaganiu. Tam stał nikt inny jak mój starzec... Zwinięty w kłębek drży z zimna, wskazuje, abym siadł obok niego, abym się oparł o niego, w ten sposób wzajemnie się trochę ogrzejemy.

Usiadłem. Głowa się rozjaśnia. Wcześniejszy rój mrocznych myśli rozprasza się, pozostaje prawie przyjemne odurzenie wynikające z wyczerpania. Z drugiej strony jest mi coraz bardziej zimno. Mokry, na śniegu i wietrze, drzę tak, jak gdyby się uruchomiły wszystkie sprężyny mojego ciała, jak gdyby każdy wietrzyk lub muśnięcie śnieżynki wyzwał szalone wibracje.

„Nie bój się, wszystko będzie dobrze,“ mówi starzec. „Oprzyj się o mnie i módl się, a potem spokojnie zaśnij, jesteś zmęczony.“

Widzę, jak on zagłębia się w modlitwę jak kamień w czystej wodzie. Zarzucił na mnie swoją riasę, jesteśmy pod nią razem, jak pod namiotem. Czuję ciepło, którym promieniuje jak mocno rozgrzany piec, przyjemnie mi, całkiem się uspokoiłem, mogę się zdrzemnąć pod jego pieczę. Gdy nadchodzi sen, zadaję sobie pytanie, czy to przypadkiem nie z powodu dreszczy wydaje mi się, że jest mi ciepło, a może jestem tak wyczerpany i przeziębiony, że tak naprawdę grzeje mnie choroba? Ale nie mam ani sił ani czasu, by odpowiedzieć sobie na to pytanie; skrajnie wyczerpany zadowolam się tym, że jest mi przyjemnie. Słucham cichej modlitwy starca:

„Panie, Jezusie Chryste, zmiłuj się nad nami!“

„Matko Boska, uchronij nas!“

Modlitwa wahadłowo przechodzi między tymi dwoma prostymi zdaniami, podczas których zapadłem w sen. Śniłem o tym, że pełna młodych mnichów łódź zostawiła mnie samego na skalistym wybrzeżu, nad którym wznosiła się mała biała cela zakonna, kamienna, archaiczna, cała biała, z kopułą. Na balkoniku, wystającym ku morzu, czekał na mnie mój starzec, machał ręką, abym tam poszedł. Potem stanął przede mną, zaprosił mnie do cerkwi, pokazał kliros i obrazy, postawił mnie przed Bramą Królewską ikonostasu i uczynił nade mną znak krzyża.

O pierwszym, mglistym, wilgotnym świcie otworzyłem oczy i poczułem na sobie uważne spojrzenie starca.

„Idziemy?“ zapytał mnie.

Wstałem. Spodziewałem się całkowitej sztywności kręgosłupa z powodu wczorajszego wysiłku, wilgoci i zimna. Ale przeciwnie, kręgosłupa nawet nie czułem. W kończynach czułem ciepło, jak gdybym spał w ogrzewanej izbie. Na zboczach leży mokry śnieg, w nocy spadła go znaczna ilość, tylko parę metrów wokół nas jest sucho. Także skałę nad nami pobielili mokry śnieg, który dalej padał i przylepiał się do niej.

Głęboko westchnąłem, wyprostowałem umęczone kończyny: ani śladu zmęczenia, tym mniej gorączki, której wczoraj się tak obawiałem.

„Tak, chodźmy jak najszybciej!“

Starzec przeżegnał się i zrobił krok w śniegu sięgającym prawie do kolan. Bez wahania poszedłem za nim.

### Część III

#### X. Wieczne światło

*To prawda, że pustynia usypia namiętności. Nie chodzi jednak o to, by je uśpić, lecz by je zwalczyć.*

Izaak Syryjczyk

*Kto się smuci dlatego, że zaczął gorzej widzieć i kończy mu osłabły, ten nie będzie się cieszył beznamiętnością duszy.*

Abba Ewagriusz

Po długim czasie wziętem do ręki ten swój nieudolnie pisany dziennik. Pisanie idzie mi coraz trudniej. Opuszczają mnie siły i rzadkie są chwile, takie jak ta, gdy bóle w opuchniętych stawach nie uniemożliwiają mi trzymania długopisu. Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Przed sobą widzę już dzień, gdy nie będę w stanie przyrządzić sobie posiłku, nie wiem, jak w ogóle wstanę z łóżka. Życie wygasa, widzę, jak powoli staję się cieniem, podobnym do tych, co tajemniczo mnie nawiedzają. Czy niedługo naprawdę zmienię się w lodowaty cień, zdany na to, by wiekami błędzić po tej górze? A może anioł stróż, który już tylekroć przychodził mi z pomocą, i tym razem mnie nie opuści?

No właśnie, kiedy minął ten długi okres mojego pobytu na Athosie? Czy jest już za późno na skruchę z powodu niepokoju i braku ufności wobec braci, gdy za swoje klęski winięm innych? Jak wiedzieć, gdzie jestem dzisiaj?

Tak, jestem spokojny, już nie wędruję, nie tracę cierpliwości i nie obwiniam innych, ale z drugiej strony już tak długo żyję samotnie, że naprawdę nie mam żadnego powodu kogokolwiek obwiniać. Łatwo być pokornym w okolicznościach, gdy nie ma innej możliwości, gdy tą pokorą nie kierują myśli, lecz ciało. A ja bym chciał się dowiedzieć, w jakim stanie jest moja dusza. Zbyt przyjemnie żyłem przez te wszystkie lata, tylko wedle własnej woli, tak i tylko tak, jak mi było dogodnie. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni cokolwiek (lub ktokolwiek) by mnie ograniczał. Robiłem wszystko, co chciałem. Najpierw wybierałem starców, którzy mnie nie ograniczali. Później dużo wędrowałem, chodziłem tam, gdzie i kiedy chciałem, zatrzymywałem się tam, gdzie i jak długo chciałem. Gdy już będąc starcem znalazłem ukojenie w tym przepięknym miejscu, to w tamtej chwili właśnie to się wpasowywało w moje ówczesne pragnienia i stan duchowy. Konstatuję to z niezadowoleniem. Biada mnie, staremu mnichowi! Teraz, gdy zbliża się koniec, mam przed oczami obrazki, które w dzieciństwie oglądałem w książkach: gotyckie przedstawienie tańca śmierci, gdzie królowie i przedstawiciele hierarchii cerkiewnej obejmują śmierć o wiele

ciasnej niż żebracy i kaleki. Ja swoim życiem dorównałem królom, a może nawet prześcignąłem ich. Jak ja umiałem czerpać przyjemności z każdego drobiazgu w tym życiu! Krajobrazy, chyba najlepsze na świecie, poranne świty i wieczorne zachody słońca, wściekle fale na rafach, ławice rekinów, co wesoło pływają wzdłuż wybrzeża – to wszystko było moje. Mógłbym wyliczać dalej, po blask księżycy i cichy śpiew gwiazdnych nocy. Oj, jak ja to wszystko kocham, szalenie kocham. Nawet do dzisiaj ta miłość nie wygasła. Wiem, że to wszystko pewnego dnia zniknie, że jest to coś ziemskiego, że są to tylko uczucia – ale ja to mimo wszystko kocham. I jeżeli mam iść w swej skrusze do końca, to muszę się przyznać, że czerpałem nieumiarkowaną przyjemność z lasów i ich owoców, ze srebrzystych lodowatych źródeł, z ogrodów i sadów, z ptaków i skał... Wszystko to było mi dane, ze wszystkiego czerpałem przyjemność bezwstydnie i nieumiarkowanie. Jak ja lubiłem wino, i jak często w tej swojej namiętności nie znałem umiaru! Jak smakowały mi pieczone kasztany w popiele albo świeżo wyciśnięty sok z owocu opuncji! No i cereśnie i figi w okolicach imienin Piotra albo arbuz w sierpniowe upały. A ja myślałem, że to wszystko jest rzeczą najbardziej naturalną na świecie. Władcy i książęta tego świata, który opuszczam, muszą potrudzić się przynajmniej tyle, by komuś powiedzieć „Przynieś!” Ja nawet tego kłopotu nie miałem. Żyłem nieświadomie, jak roślina Boża, nie jak mnich.

Nawet teraz, gdy zdaję sobie sprawę z wszystkiego, czy może do tego zmusiły mnie tylko bóle w kościach, te wszystkie wyraźne oznaki tego, że życie mnie opuszcza? Śmierć chwyciła mnie w taniec, jak na włoskich freskach, i już mnie z swych rąk nie wypuści. Jest późno, chyba za późno na skruchę w stanie, w jakim jestem, raczej niczego już nie mogę naprawić. Ja, który tak ceniłem wolność, i tę wolność tak wcześnie zdobyłem. Już nie ma tej wolności teraz, nie mam już żadnego wyboru. Dogoreję, czy chcę tego czy nie. Bóle w słabym ciele muszę znosić, nie ma innego wyjścia. Niedługo nastąpi głód, a z nim też koniec. Nikomu już nie chcę uczynić nic dobrego ani złego. Zmieniłem się w nieduży kawał skóry i kości, bez woli, bez pragnień, bez poczucia winy, ale także bez zasług. Bez możliwości przywrócenia. Stare winy najprawdopodobniej zostają tam, gdzie były. Nie pamiętam, żebym z powodu własnych win kiedykolwiek odczuwał szczerą skruchę, żebym poczuł łaskę skruchy. Jest późno, nawet na skruchę jest już chyba za późno. A może jednak nie?